WOJCIECH DUTKA

BRACTWO MANDYLIONU

Geoffrey de Melville wyrusza na krucjatę, by odkryć, że staje do walki o własną duszę…

LIRA
WYDAWNICTWO

BRACTWO MANDYLIONU

WOJCIECH DUTKA

BRACTWO MANDYLIONU

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Warszawa 2020
ISBN: 978-83-66503-58-8

Jakże często trzeba tracić wiarę
urzędową
nadętą
zadzierającą głowę do góry
asekurującą
głoszoną stąd dotąd
żeby odnaleźć tę jedyną
wciąż jak węgiel jeszcze zielony
tę, która jest po prostu
spotkaniem po ciemku

ks. Jan Twardowski[1]

1 Jan Twardowski, *Nie przyszedłem pana nawracać. Wiersze 1945—1985*, Wydawnictwo Archidiecezji Warszawskiej, Warszawa 1991.

WSTĘP

W pierwszej połowie 2002 roku przebywałem na stypendium naukowym na Uniwersytecie Karola w Pradze. Stolica Czech jest miastem oszałamiającym różnorodnością. Jedzenie jest tam wyśmienite, tak jak piwo. Natomiast gotyckie i barokowe kościoły świecą pustkami i dlatego wydały mi się jeszcze bardziej urzekające, ponieważ pomyślałem, że są tylko dla mnie. Praga jest także miastem, w którym czas zatrzymał się nie tylko we wspaniałej architekturze, ale także na kartach dawnych książek.

Pamiętam, że dzień moich imienin, 23 kwietnia 2002 roku, spędziłem w gmachu praskiego Rudolfinum, siedzibie czeskiej Biblioteki Narodowej. Sporządzałem tego dnia wypisy z nudnych kościelnych schematyzmów. Musiałem je opracować dla mojego promotora z KUL (schematyzmem nazywa się urzędowy coroczny spis całego uposażenia diecezji w Kościele katolickim).

W pewnej chwili wziąłem do ręki kodeks oprawiony w czarną skórę stojący na sąsiednim biurku. Otworzyłem go. Księga składała się z kilku łacińskich tekstów zebranych w jednym tomie, ale pochodzących z różnych epok i dotyczących różnych zagadnień. Rzecz normalna dla średniowiecza. Pierwszy z owych tekstów, *Quattuor imagines mundi sive de virtutibus*[2] pióra franciszkańskiego mnicha Eustachego z Grottaferatty, był interpretacją nauczania Świętego Tomasza z Akwinu o czterech cnotach kardynalnych. Ale jakby nie dość średniowiecznej ortodoksji następnym dziełkiem w kodeksie była hagiograficzna opowieść *Vita Annae ducissae Silesiae*. Ten krótki, anonimowy tekst

2 (łac.) „Cztery obrazy świata, czyli o cnotach" [tłum. autora].

hagiograficzny opowiadał dzieje Anny, żony księcia wrocławskiego Henryka Pobożnego, który poległ z rąk mongolskich wojowników w bitwie pod Legnicą w 1241 roku. Trzecim dziełkiem w kodeksie był prawdziwy rarytas dla historyków filozofii, a mianowicie — komentarz Rogera Bacona do dzieła Arystotelesa o optyce, zatytułowany *De oculis mundi*. Tekst został napisany znakomitą łaciną, pełną fachowej terminologii.

Ostatni tekst w owej księdze był najbardziej sensacyjnym i niezwykłym łacińskim tekstem, jaki przeczytałem w swoim życiu: *De honesto viro gentis Anglorum ex ordine militium templi Salomonis qui liberavit imaginem Christi manu homini non factam.* Po polsku tytuł brzmi następująco: *O czcigodnym mężu z narodu Anglików z Zakonu Rycerzy Świątyni Salomona, który uratował wizerunek Chrystusa nieuczyniony ręką człowieka.* Tekst liczył szesnaście kart pisanych w dwu kolumnach po łacinie. Jestem pewien, że niejeden z mediewistów zazdrościłby mi takiego odkrycia.

Styl pisma był dość niespotykany, ale sprawił mi dużo przyjemności. Lubię tłumaczyć łacińskie teksty. Ten był rarytasem, gdyż niecodziennie można w Polsce widzieć średniowieczny tekst pisany półuncjałą insularną (to typ łacińskiego pisma, które rozwinęło się tylko w Anglii między VI i VIII wiekiem). Gdy jednak wczytałem się w łacińskie wersy, po raz pierwszy od czasów liceum dziękowałem Bogu za to, że gdy moi koledzy i moje koleżanki z klasy buntowali się przed łaciną, ja mozolnie wkuwałem słówka, ćwiczyłem łacińską gramatykę i do bólu wczytywałem się w teksty Cycerona.

I tak natrafiłem na ślad morderczego spisku i historię bractwa mandylionu.

Zaginiona relikwia

Wspomniany tekst zawierał historię templariusza, Geoffreya de Melville'a, pochodzącego z rodu hrabiów Gloucester, zapisaną przez jakiegoś dominikanina około roku 1318 roku w Oksfordzie. Najwcześniejsza wersja tego tekstu mogła jednak pochodzić z XIII wieku, gdyż autor odpisu, który miałem w ręce, napisał w krótkim wprowadzeniu, że tekst oryginału De honesti viri gentis Anglorum przywiózł do Anglii za panowania króla Jana bez Ziemi (1199—1216) jakiś nieznany z imienia angielski templariusz. Na szczęście średniowiecze miało twórczą obsesję przepisywania tekstów. Dzięki niej mogła do mnie dotrzeć opowieść o tym człowieku, który — jak napisał ów dominikanin z Oksfordu — „poznał straszliwy smak herezji i prostą łagodność ortodoksji, i który widział na własne oczy wizerunek Chrystusa, niestworzony ręką człowieka". Ów mnich użył greckiego słowa na oznaczenie wizerunku Chrystusa, a mianowicie — αχειροποίητος (acheiropoietos), co rzeczywiście znaczy „niestworzony" lub „niewykonany ręką człowieka".

Długo nie mogłem sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach natrafiłem na takie określenie. Moja ogólna historyczna erudycja podpowiedziała mi, że określeniem *acheiropoietos* nazywano w średniowieczu w Kościele wschodnim pewien typ ikonicznego wizerunku Chrystusa. Ikony te ukazywały twarz dojrzałego mężczyzny z czarną brodą i ciemnymi włosami. Taka pojawiła się w Bizancjum w IX wieku. Wcześniej nikt nie przedstawiał w ten sposób Jezusa. Można tylko przypuszczać, że ikona zwana *acheiropoietos* mogła być inspirowana jakimś zaginionym wzorcowym wizerunkiem. Łaciński tekst, jaki znalazłem w Pradze, na-

suwał sporo nowych pytań w tej skomplikowanej i trudnej naukowej materii.

Zaczęły mnie nurtować inne pytania. Czyżby w kręgu ortodoksyjnych katolików w średniowieczu przetrwała pamięć o jedynym prawdziwym wizerunku Chrystusa, który Grecy nazywali *mandylion*? Wizerunek ten, według znakomitej książki angielskiego historyka Iana Wilsona pod tytułem *Całun turyński*, był odbity po zmartwychwstaniu na płótnie i opisany w Ewangelii Świętego Jana. W czasach rzymskich znajdował się w Edessie w Syrii, a w połowie VII wieku został przewieziony do Konstantynopola przez armię bizantyjską ustępującą przed wojowniczymi zagonami arabskimi. Ian Wilson stwierdził, że ów tajemniczy wizerunek Chrystusa przechowywano w kaplicy Faros w Konstantynopolu. Relikwię widział i opisał bizantyjski cesarz Konstantyn Porfirogeneta około 943 roku. Znana historia mandylionu skończyła się w 1204 roku, podczas dokonanej przez zachodnich krzyżowców krwawej rzezi Konstantynopola. Relikwia została wówczas skradziona przez nieznanych nam sprawców i zaginęła.

Tekst, który odkryłem w Pradze, rzucał światło na złodziei. I tak natrafiłem na ślad bractwa mandylionu, tajnego stowarzyszenia. Na kanwie tej historii zrodził się pomysł niniejszej powieści.

Tajemniczy autor

Przeczytałem historię Geoffreya kilka razy, robiąc po łacinie obszerne notatki. Pod wieczór owego dnia, kiedy wziąłem do ręki tę tajemniczą księgę, do biblioteki przyszedł starszy ksiądz, którego niemiecki twardy akcent zabrzmiał w moich

uszach wyjątkowo niemile. Ów staruszek zrobił w bibliotece piekielną awanturę. Oskarżył mnie, że zabrałem księgę, którą sam miał ochotę przeczytać. Nie miałem zamiaru jej ukraść, ale starzec był nieubłagany. Musiałem oddać książkę bibliotekarzom. Starzec wziął księgę i wyszedł z biblioteki. Przez kilka następnych dni próżno czekałem na przybycie starego księdza. Jedynym śladem po księdze była sygnatura, którą zanotowałem na jakimś świstku. Gdy jednak kilka dni później poprosiłem bibliotekarzy o pomoc w odnalezieniu księgi, rewers przychodził z magazynu biblioteki zawsze z adnotacją: „Taka książka nie istnieje". Wiem, że ktoś chciał tę księgę ukryć przede mną. Poprosiłem bibliotekarzy o małą przysługę. Zostawiłem im mój adres, gdyż mieszkałem wówczas w akademiku Na Kajetance.

Dwa dni przed wyjazdem z Pragi pokój w akademiku, gdzie mieszkałem, został zdemolowany. Wszystkie notatki zostały mi skradzione i dlatego całą historię muszę odtworzyć z pamięci.

PROLOG

Wieża trędowatych, dolina Aosty, maj 1215 roku

Widziałem podczas krucjat ohydne rzezie, których dokonywali ludzie wierzący w Boga i chwalili się, że czynią to dla Niego. Widziałem, jak mordowano wszystkich napotkanych ludzi, niezależnie od wyznawanej przez nich wiary. Owe rzezie, w których uczestniczyłem, są dla mnie nieznośnym wyrzutem sumienia.

Z każdym dniem trąd pożera kolejne połacie mojej skóry. Obserwuję destrukcję mojego ciała, ziemskiej i materialnej powłoki, w której zaklęta jest moja dusza. Boję się śmierci. Sama myśl o niej — paradoksalnie — prócz nadziei wyzwolenia z bólu przynosi mi również strach, który ścina krew w żyłach.

Ja, Geoffrey de Melville, rycerz zakonu templariuszy, byłem mordercą, kłamcą i wiarołomcą. Widziałem szaleńców, zbrodniarzy i głupców mieniących się świętymi, którzy wymachiwali w czasie krucjat krzyżem jak cepem i byli pewni, że zostaną dzięki temu zbawieni. Na krucjatach szukałem prawdy — ale jej nie znalazłem.

Jestem teraz gnijącym, trawionym przez trąd, ale wciąż żywym trupem. Cierpię, żeby odpokutować straszliwe grzechy mojego zakonu, a także wszystkich, którzy ruszali na wojnę w imię Boga. *De ventre inferi clamavi, et exaudisti vocem meam, et projecisti me in profundum in corde maris, et flumen circumdedit me*[3].

3 (łac.) „Z głębi piekieł zawołałem i Ty wysłuchałeś mego głosu, i wrzuciłeś mnie do głębin morza, i fala objęła mnie".

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział I
Błazen na linie

Kwiecień roku Pańskiego 1170 zapowiadał się w zachodniej Anglii jako pierwszy ciepły miesiąc po zimowych chłodach. Miałem wtedy piętnaście lat. Anglia, stare chrześcijańskie królestwo, od stu lat jęczała pod normandzko-francuskim jarzmem. Tylko wśród ludowych pieśni zachował się żal nad piechotą króla Harolda, która została zmasakrowana przez ciężką normandzką jazdę w bitwie pod Hastings w roku Pańskim 1066. Wilhelm Zdobywca, książę Normandii, stworzył wówczas nową, francuską Anglię. Stało się tak, ponieważ większość rycerstwa, baronów, duchowieństwa i sług władcy czuła się Francuzami i myślała jak Francuzi. Ich język dominował w królewskim pałacu, na targu i w kościele i nikogo to nie dziwiło. Język angielski stał się językiem prostackim.

Przyszedłem na świat w domu należącym do francuskiego możnowładcy, który osiedlił się na Wyspach wraz z normandzką dynastią. Był to jednak dom, w którym normańscy najeźdźcy musieli poczuć się pokonani. I to przez kobietę. Moja matka Joanna z Yorku kochała i zielone wzgórza Anglii, i mego ojca, normandzkiego rycerza, Hugona de Melville'a, który przybył z Francji jak wielu innych poddanych

naszego ziemskiego władcy, króla Henryka II Plantageneta. Jedyne, co pamiętam z wczesnego dzieciństwa, to to, że zawsze byłem blisko matki, która nauczyła mnie tego, co dobre. Prócz tego nie zapomniała mnie również nauczyć języka angielskiego, którym władali prości ludzie. Ojciec, który mówił tylko po francusku, robił matce z tego powodu nieustanne wyrzuty. Ona, słysząc jego utyskiwania, zawsze odpowiadała:

— Hugonie, jak on będzie mógł rządzić smolarzami, piekarzami, parobkami, którzy wypasają owce i krowy, skoro nie będzie ich rozumiał?

Ja wówczas powtarzałem za ojcem, który gardził prostymi ludźmi, że wcale nie chcę ich rozumieć, tylko bić w pysk ile popadnie.

— Chcesz bić tych ludzi po pysku?

— Tak, mamo, to przecież chamy.

— Doprawdy? — zapytała oburzona. — Chodź więc ze mną, smarkaczu.

Zaprowadziła mnie na podgrodzie, gdzie zapachy krowiego łajna, ludzkiego potu i świeżo warzonego piwa wypełniały powietrze, a niemyte, spocone i pokryte ropiejącymi wrzodami ciała prostych ludzi były oznaką ich statusu społecznego. Patrzyłem na tych ludzi ze wstrętem. Matka chyba to wyczuła. Położyła swoje dłonie na moich ramionach, a jej twarz przybrała wyraz skupienia i troski. Zrozumiałem, że chciała mi powiedzieć coś ważnego.

— Geoffreyu, synku, jesteś kością z mojej kości i krwią z mojej krwi. Moje serce wypełnia smutek, ponieważ widzę, jak bardzo gardzisz tymi ludźmi tylko z tego powodu, że nie mieli tyle szczęścia co ty i urodzili się w nędzy i brudzie. Popatrz na te dzieci. Czy są gorsze od ciebie? — Wskazała ręką na synów smolarza.

Dzieci w wesołych podskokach taplały się w błocie. Ta prymitywna zabawa sprawiała im najwidoczniej dużo radości. Gardziłem nimi.

— Tak, są nie tylko gorsze, ale i wstrętne — odpowiedziałem bez wahania.

Obeszliśmy całe podgrodzie. Wszędzie było tak samo. Dzieci wyglądały nędznie, a ich rodzice kłaniali się na widok mojej matki i mnie.

— Synu, czy uważasz, że ci ludzie są szczęśliwi?

Nie rozumiałem pytania matki. Biedacy dalej mnie obchodzili tyle co trawa skoszona w zeszłym roku.

— Nie dbam o tych ludzi bardziej niż o psy.

Matka zmartwiła się i powiedziała po chwili:

— Synu, kiedy twój ojciec albo jakiś inny francuski pan podniesie tym biedakom czynsz, ich szczęście szybko się zawali. Czy radość tych dzieci jest inna od twojej?

Matka próbowała mnie przekonać, żebym zmienił zapatrywania odnośnie do biedaków. Nie znałem jednak odpowiedzi na pytanie matki.

Powiodła mnie w końcu do zakonnic, które niedaleko Gloucester prowadziły leprozorium dla trędowatych. Wszyscy śmiertelnie bali się trędowatych. Być chorym na trąd oznaczało żyć poza nawiasem cywilizacji. Dotkniętych trądem już za życia skazano na piekło samotności, nędzy i cierpienia. Wyrzekały się ich nawet rodziny. Było to bardzo mało chrześcijańskie.

— Czy widzisz tych ludzi? — zapytała mnie matka, po czym wskazała na starszego mężczyznę i młodego chłopca w moim wieku, którzy stali kilka metrów dalej.

Chwyciłem matkę silniej za rękę, bojąc się ich. Widok ich ropiejących ran był trudny do zniesienia. Brudne bandaże śmierdziały szczególnie dotkliwie. Ludzie ci przynieśli je do

zakonnic, ponieważ chcieli dostać czyste. Stojące obok tych dwu nędzarzy zakonnice układały owe brudne bandaże na stos. Dotykając ich, nie bały się, że się zarażą. Ja przeciwnie. Czułem nie tylko strach, ale także wstręt.

— Skoro widzisz, synu, że ci ludzie żyją w nędzy, daj temu chłopcu srebrnego, królewskiego funta.

Matka włożyła mi w rękę okrągłą monetę i podprowadziła do młodego, trędowatego człowieka, którego wychudzone ciało okrywały cuchnące łachmany. Chłopiec odwrócił się, słysząc nasze kroki. Przestraszyłem się jego twarzy. Była zeszpecona licznymi ranami, z których sączyły się krew i ropa. Zauważyłem, że ten chłopiec nie miał nosa, a w jego miejscu wystawały kości. Chwilę potem zobaczyłem, że on cierpiał. To było moje największe odkrycie tamtego dnia.

Matka podprowadziła mnie bliżej nich. Bałem się, aby ci ludzie nie rzucili się na mnie — jednak to oni natychmiast się cofnęli. Zrozumiałem, że oni bardziej bali się nas niż my ich. Rzuciłem pod nogi trędowatego chłopca monetę. On podniósł ją i spojrzał na mnie. Wówczas jego oczy, choć pełne cierpienia i smutku, rozjaśniły się radością, a okaleczone usta bezdźwięcznie mi podziękowały. Poczułem litość po raz pierwszy w życiu.

Potem matka powiedziała mi:

— Synu, dałeś temu człowiekowi jałmużnę i dobrze uczyniłeś. Pamiętaj jednak, aby dawać jałmużnę nie tak, jak czynią to bogaci rycerze, kupcy, baronowie, a nade wszystko biskupi i królowie, którzy dają z tego, co im zbywa. Dawaj jałmużnę tak, aby nikt się nie dowiedział, że to czynisz, i wówczas będziesz miał skarb w niebie.

— W niebie? — zapytałem idiotycznie, bo nie wiedziałem jeszcze, że istnieje jakieś inne niebo prócz mojego wygodnego życia.

— Tak — odpowiedziała matka. — Jedni rodzą się w rynsztoku, inni w rycerskim domu, jeszcze inni pod baldachimem z atłasu. Ale pamiętaj, że to nie miejsce urodzenia czyni ludzi szlachetnymi, lecz uczynki. Pamiętaj o tym, mój synu.

*

Matka umarła na Wielkanoc 1170 roku. Od kilku miesięcy chorowała na suchoty. Kiedy w Wielki Piątek poczuła się bardzo źle, ojciec przywołał do naszego zamku proboszcza katedry. Ksiądz był też lekarzem lub przynajmniej za takiego pragnął uchodzić. Modlił się żarliwie, po czym puścił matce krew z przegubu ręki. Wyjaśnił, że to zła krew szkodzi chorej. Widziałem, jak mój ojciec, hrabia Gloucester, wręczył proboszczowi ciężki trzos, który jeszcze szybciej zniknął pod sutanną bożego sługi. Nie do końca wtedy rozumiałem sens uczynku ojca, ale teraz wiem, że księża katoliccy najlepiej modlą się wtedy, gdy dostają trzos ciężki od złota.

Ja również żarliwie modliłem się do Boga o ratunek dla matki, ale moje modlitwy nie zostały wysłuchane. Umarła cicho i tak spokojnie, jakby spała. Patrzyłem potem bardzo długo w kaplicy zamkowej na jej martwe usta, nos i twarz. Wtedy po raz pierwszy widziałem trupa i było to dla mnie silne przeżycie. Nie potrafiłem jednak płakać. Nie wiem, czy zdawałem sobie sprawę z tego, co się stało. Kiedy w trakcie pogrzebu zobaczyłem, jak ojciec klęczał, rozpaczając przy trumnie matki, doznałem w owej chwili bardzo intensywnego uczucia. Tym uczuciem była bezsilna złość. Byłem wściekły.

Znalazłem natychmiast winnego — to Bóg zabrał mi matkę. Postanowiłem, że obrażę się na Boga. Obiecałem sobie, że już nigdy nie będę się modlił.

*

Mój ojciec Hugon de Melville, hrabia Gloucester, ożenił się wkrótce po raz drugi. Przyprowadził sobie kobietę, która była znacznie młodsza od matki. Miała na imię Juliette i była oczywiście Francuzką.

Nie znosiłem macochy od pierwszego dnia, kiedy ją zobaczyłem. Wiedziałem, że nie zna angielskiego i mówiłem do niej tylko w tym języku, co niezmiernie ją drażniło. Kiedy powiedziała o tym ojcu, ten stłukł mnie rzemieniem tak mocno, że przez następne trzy tygodnie wcale nie mogłem siedzieć na tyłku. Pewnego dnia, kiedy obolały leżałem na posłaniu, przyszedł do mnie jeden z młodszych giermków ojca i rzekł:

— Twój ojciec i matka kazali ci przekazać, że masz uczęszczać do przyklasztornej szkoły.

— Ona nie jest moją matką, parobku! Nie mam zamiaru chodzić do klasztoru. Nie chcę być mnichem. Wynoś się…

Wówczas giermek odpowiedział zagniewany:

— Nie jestem parobkiem, paniczu. Mam na imię Henryk i jestem synem jednego z wasali twego ojca.

Zrozumiałem, że ojciec wyznaczył mi opiekuna. Z całych sił starałem się go ignorować, choć był to chłopak starszy i szalenie wyrozumiały dla mojego krnąbrnego charakteru.

*

Szkoła przykatedralna Świętego Jakuba w Gloucester była jednym z tych miejsc, gdzie często mówiło się o Bogu, ale ślady jego obecności w ludzkich sercach były więcej niż nikłe. Zarówno ja, jak i Henryk, a także kilkunastu młodzieńców z najlepszych normandzkich domów zachodniej

Anglii rozpoczęliśmy w niej naukę po Wielkanocy. Była jedną z najsłynniejszych przyklasztornych szkół w tej części kraju. Z tego powodu młodzi ludzie przybywali do Gloucester, aby w ciszy i blisko Boga zgłębiać tajniki siedmiu sztuk wyzwolonych.

Przyjmowani do szkoły byli bardzo zróżnicowani wiekiem. Trzynastolatek i dziewiętnastolatek siedzący w jednej ławie szkolnej wcale nie stanowili wyjątku. Wszyscy zaczynali edukację od jednego poziomu: gramatyki, retoryki i dialektyki. Uczył nas ksiądz Jan, który z natury był człowiekiem bardzo surowym. Nie znosił sprzeciwu i miał o sobie wielkie mniemanie. Powtarzał zawsze, że jego najlepszymi przyjaciółkami są łacina i ostra laska trzcinowa. Mieliśmy się o tym bardzo boleśnie przekonać.

*

Lekcja łaciny połączonej z retoryką była dla nas postrachem. Ksiądz Jan recytował z pamięci sławetne frazy z Juliusza Cezara i wpadał przy tym w zachwyt.

— *Gallia est omni divisa in partes tres, quarum unam incolunt Belgae, aliam Aquitani, tertiam qui ipsorum lingua Celtae nostri Gallia apellantur…*[4].

Gdy je cytował, jego twarz drżała z rozkoszy. My, przeciwnie — drżeliśmy ze strachu. Każdy z chłopaków żarliwie modlił się do Boga, aby oczy księdza Jana nie spoczęły akurat na nim.

— Czyż te cudowne frazy nas nie zachwycają? — pytał ksiądz. — Oczywiście, że zachwycają — odpowiadał sam

4 „Galia jest podzielona na trzy części, z których jedną zamieszkują Belgowie, drugą Akwitanowie, a trzecią ci, którzy zwą się we własnym języku Celtami, a w naszym Gallami". Zob. Gajusz Julisz Cezar, *O wojnie galijskiej*…

sobie. — Ubogacają nas, wzbudzają w nas wielki podziw dla języka łacińskiego, dla jego jasnej struktury, dla jego prostej i wspaniałej gramatyki, która jest rozkoszą dla naszych umysłów, prawda?

Od tego stwierdzenia zaczynał się horror.

— Henryku z Brienne, jesteś najstarszy w tej klasie. Mniemam, że również najmądrzejszy. Wstań.

Biedny Henryk miał głowę do rachunków, ale nie do łacińskiej retoryki.

— Powtórz teraz ładnie ten fenomenalny fragment z pamiętników Cezara.

Henryk zawsze się mylił. To doprowadzało księdza Jana do szału.

— Wyciągnij dłonie, ty matole! Wysoki jak brzoza, głupi jak koza! — wrzeszczał.

Henryk wyciągał dłonie, a ksiądz Jan bił swoją straszliwą trzciną. Zawsze do krwi. Upojony zwracał się ku mnie. Siedziałem przecież z matołem w jednej ławce i ksiądz Jan podejrzewał, że mogłem się zarazić od Henryka straszliwą chorobą głupoty.

— Geoffeyu de Melville'u, zarecytuj nam pięknie cudowne frazy Cycerona.

Wyrecytowałem bez zająknięcia:

— *Quando tandem abutere, Catilina, patentia nostra? Quam diu etiam furor iste tuus nos eludet? Quem ad finem sese effrenata iacabit audacia?*[5].

— Wspaniale — rzekł rozpromieniony ksiądz Jan. — Czy Cyceron cię zachwycił? Powiedz szczerze.

---

5 „Jak długo, Katylino, będziesz nadużywał naszej cierpliwości? Jak długo będziesz w swoim szaleństwie drwił z nas? Do jakich granic będziesz się chełpił swoim zuchwalstwem nie znającym cugli?" Zob. Marek Tulliusz Cyceron, *Pierwsza mowa przeciwko Katylinie*.